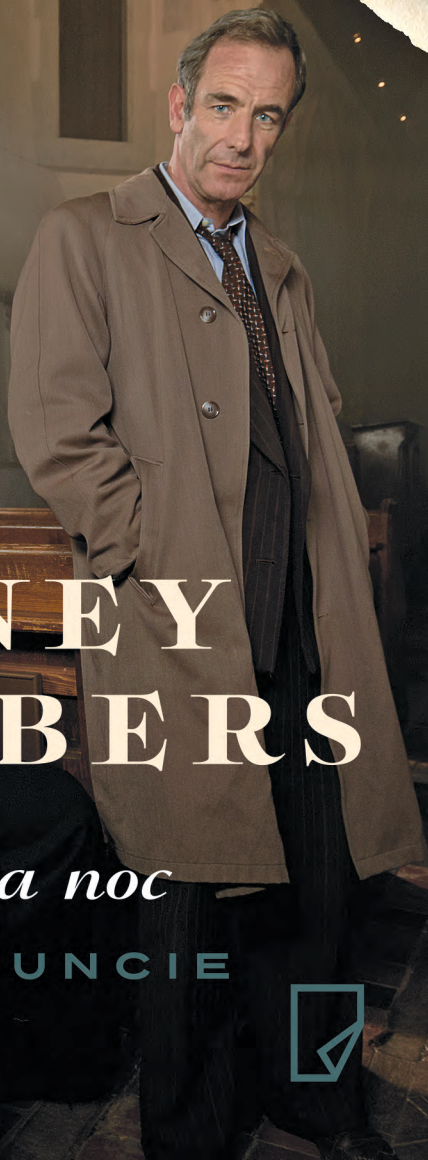
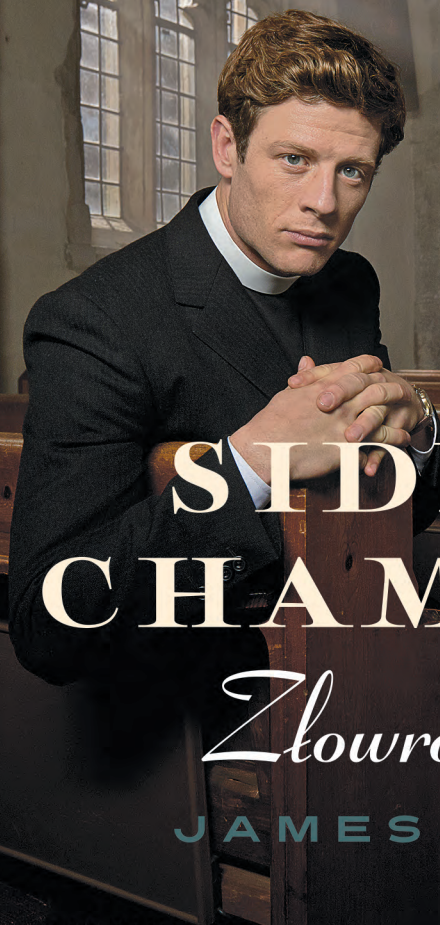


ZAGADKI GRANTCHESTER



SIDNEY
CHAMBERS

Złowroga noc

JAMES RUNCIE

MARGINESY



**SIDNEY
CHAMBERS**
Złowroga noc

JAMES RUNCIE

PRZEŁOŻYŁA EWA PENKSYK-KLUCZKOWSKA

MARGINESY

Dla Marilyn

Sidney Chambers and The Perils of the Night

COPYRIGHT © James Runcie 2013

This translation of *Sidney Chambers and The Perils of the Night*
(1st edition) is published by Wydawnictwo Marginesy
by arrangement with Bloomsbury Publishing Plc.
and Macadamia Literary Agency, Warsaw

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Ewa Penksyk-Kluczkowska
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY WYDAWNICTWO MARGINESY,
WARSZAWA 2017

ZŁOWROGA NOC

Popołudniowe światło zgasło nad Grantchester, parafianie rozpalali ogień w kominkach, zaciągali zasłony i ryglowali drzwi, by nic groźnego nie dopadło ich w ciemnościach. Nieprzenikniony mrok był jak *memento mori*, nocny zwiastun tej posępnej krainy, z której nie wraca żaden wędrowiec. Ksiądz kanonik Sidney Chambers nie czuł jednak strachu. Lubił zimowe noce.

Był ósmy stycznia 1955 roku. Widoczne w oddali miasto Cambridge zakłęte w podstępny światło księżyca wyglądało niemal dwuwymiarowo, a sylwetki uniwersyteckich budynków na tle ciemniejącego nieba prezentowały się niczym ilustracje do bajki dziecięcej. Sidney wyobraził sobie księżniczki zamknięte w wieżach, rycerzy wyruszających na niebezpieczną wyprawę przez bory i drwali znoszących zapasy opału do ogrzania wielkich sal średniowiecznych zamków. Rzeka Cam zatrzymała się w czasie – jej zamrożone wody pokryły się zerwanymi konarami, zrzuconymi gałązkami i uschniętymi liśćmi. Przykryte śniegiem kamienne kule balustrady Clare Bridge wyglądały niczym czternaście śnieżek pozostawionych przez olbrzyma, który przystanął nad makietą angielskiego uniwersytetu. Nieco dalej, odrobinę na południe, za pobielającym trawnikiem, wapien, z którego zbudowano King's College Chapel, zyskiwał jasność

dzięki śnieżnej pokrywie na dachu i na zwieńczonych pinaklami podporach wież. Wiatr omiatał budowlę, ciskając białymi tumanami na filarki i słupki okien. Witraże pociemniały, jakby czekając, aż coś się wydarzy – jakaś nowa reformacja, nalot bombowców albo i koniec świata. Bezruch nocy zakłócały jedynie sporadyczne dźwięki: przejeżdżający samochód, krzyk pijaka, kroki uniwersyteckich pedeli odbywających regulaminowy obchód. W college'u Sidneya, Corpus Christi, z ryńien wyrosły sople, a niepewne masy śniegu zsuwały się z gzymsów dachu Old Court i spadały ciężkimi ładunkami ze zwornika bramy głównej. Rowery opierały się o zwieńczoną szpikulcami balustradę, szprychy ich kół pokryły się białym szronem. W taką noc najlepiej zaciągnąć zasłony, przygotować sobie ciepły napitek i napalić w kominku; posiedzieć w ulubionym fotelu z dobrą książką i towarzyskim psem.

Po kilku piwach spożytych w barze The Eagle w towarzystwie serdecznego przyjaciela, inspektora Geordiego Keatinga, Sidney ruszył w drogę do domu. Minęła dwudziesta druga, większość studentów wróciła do swoich zamykanych na noc kolegiów. O tej porze do środka można się było dostać jedynie przez Porter's Lodge po wniesieniu opłaty za spóźnienie w wysokości jednego szylinga. Ta swoboda i tak kończyła się o północy, po której to godzinie już w ogóle nie można było legalnie dostać się do środka. Kto chciał wrócić do swojego pokoju nad ranem, musiał się przedzierzgnąć w człowieka kota i dokonać włamania. Sidney jako student zrobił raz coś takiego, jakieś dziesięć lat temu, zanim został proboszczem Grantchester. Okrążył college od strony Free School Lane, wspinał się po ogrodzeniu kościoła Świętego Benedykta, wdrapał się po rynnie, przemknął przez dachy i przez oranżerię, po czym wszedł przez otwarte okno Master's Lodge, siedziby dziekana. Niedługo po tej eskapadzie dowiedział się, że to dość popularna droga i że córka dziekana, Sophie, często rozmyślnie zostawia otwarte okno sypialni

w nadziei na jakąś przygodę. Nielegalne nocne wspinaczki po murach stały się w Cambridge swoistym sportem, studenci uprawiali go już nie z konieczności, lecz dla rozrywki. Z korzystnie ukształtowanej kopuły Divinity School staczano cebule, na wieży Tottering starej Biblioteki zostawiano parasole, a pewnego kanadyjskiego studenta z King's College opętało nawet obsesyjne pragnienie, by na dachu przybytku umieścić stado kóz.

Przyłapanym na tym procederze groziła kara skreślenia z listy studentów, co powstrzymało Sidneya od intensywnego zaangażowania w te eskapady, ale wieści o śmiałych wyczynach wspinaczy budynkowych nieustannie krążyły po studenckich świetlicach i stołówkach. Władze uczelni zwiększyły liczbę zbrojnych w latarki patroli, by położyć kres niecnym praktykom, ale studenci dalej ryzykowali swoją uniwersytecką karierę w imię wolności i przygody i zmawiali się, kto będzie kogo fotografował podczas wspinaczki po Wielkiej Bramie Trinity, Nowej Wieży Świętego Jana czy północnej fasadzie Pembroke College.

Największym wyzwaniem dla opętanych pinaklomania było wejście po jednej z czterech oktagonalnych wież kaplicy King's College. Valentine Lyall, wykładowca Corpus Christi, prowadził taką ekspedycję właśnie tej nocy. Ta przygoda miała się zakończyć fatalnie.

Sidney zrozumiał, że coś się dzieje, gdy dobiegły go podniesione głosy z King's Parade. Natychmiast podążył w tę stronę, skręcając w prawo z Bene't Street, zamiast jak zwykle w lewo.

Lyall był doświadczonym nocnym wspinaczem, cieszył się na uniwersytecie pewną sławą. Towarzyszył mu Kit Bartlett, jego magistrant, blondwłosy reprezentant uczelnianej drużyny lekkoatletycznej, oraz Rory Montague, raczej przysadzisty student trzeciego roku, który miał uwiecznić wyprawę dla potomności, fotografując śmiałków.

Trzej mężczyźni włożyli golfy i buty sportowe, a wyprawę podzielili na dwa etapy: z ziemi na dach świątyni i z dachu na

północno-wschodnią wieżę. Prowadził Lyall; najpierw wspiął się na wysokość sześciu metrów, chwytając się za kotwy pioru-nochronu. Na ramieniu niósł dwa trzydziestometrowe zwoje liny. Stopami odpychał się od ścian, dźwigając się w górę, i zapierał się rękami.

Towarzyszący mu studenci podążyli za nim z latarkami. Po krótkim odpoczynku na szerokim pochyłym parapecie ruszyli kominem pomiędzy dwiema ścianami, plecami zapierając się o jedną, a stopami odpychając się od drugiej. Kamienna kryza, którą wykorzystywali do podparcia stóp, miała dziesięć centymetrów szerokości. Sidney widział, jak jeden z mężczyzn zatrzymuje się i patrzy w dół na żelazne ogrodzenie pod sobą. Znajdował się piętnaście metrów nad ziemią, a do pokonania pozostało mu jeszcze jakieś dwanaście.

Na miejscu zjawili się już pedele.

– Może ktoś po nich pójść? – spytał Sidney.

– Zabiłby się – odparł jeden z nich. – Jak zejść, spisujemy ich nazwiska. Naszym zdaniem nie są z tego college’u. Pewnie się ukryli przed nami przy poprzednich obchodach. To się musi skończyć, księżo Chambers. Może im się zdaje, że to sport, ale jeśli coś się stanie, my będziemy za to odpowiadać.

Śmiałkowie zebrali się u stóp oktagonalnej wieży, która wyrastała z dachu i wznosiła się w górę w sześciu etapach. Niektóre odcinki sprawiały wrażenie łatwych do pokonania, tam gdzie kamienny azur dawał podparcie dla dłoni, ale wysokość gzymsu prezentowała się groźnie. Valentine Lyall zaczął trawersować podstawę wieży, trafił na wywietrzniki w kamiennym liściu koniczyzny nad pierwszym występem. Miały prawie czterdzieści centymetrów głębokości i szerokości i mógł je wykorzystać jako drabinkę. W tej chwili znajdował się na wysokości trzydziestu metrów nad ziemią.

Wspiął się na gzyms, dotarł do szachownicowej kamieniarki pod samym szczytem wieży i krzyknął w dół:

– Uwaga, kamienie tu się trochę kruszą. Pamiętajcie, żeby mieć po trzy punkty podparcia za każdym razem, dwa na ręce, jeden na nogę albo odwrotnie.

Rory Montague tracił zimną krew. Gdy zbliżył się do drugiego występu, stwierdził, że w zasięgu półtora metra nie ma czego chwycić ręką.

– Nie dam rady – oznajmił.

– Nie pękaj – ponaglił go Bartlett. – Spróbuj kolanami. Przyłgnij do ściany. Nie wychylaj się.

– Ani myślę.

– Zostały jakieś cztery metry.

Lyall był już na drugim występie.

– Czas na zdjęcie.

– Nie teraz – syknął Bartlett.

– Pomóżcie mi! – krzyknął Montague. – Utknąłem.

– Nie patrz w dół.

– Ciemno jak cholera.

Lyall poświecił latarką.

– Obróć się w prawo. Masz tam rynnę.

– A jeśli się oderwie?

– Nie oderwie.

– Kończy się przed gzymsem.

– Zostały ze dwa metry.

– Chcę linę! – zawołał Montague.

– Daj mi chwilę. – Lyall dotarł na ostatni gzyms. Odchylił się mocno, chwycił go oburącz i podciągnął się, korzystając ze szczelin w kamieniach, aż jego stopy dotarły do ostatniego otworu.

Bartlett podążył za nim i zrzucili linę. Montague ją chwycił i z jej pomocą pokonał ostatni odcinek.

Sidney przesunął się wzdłuż północnej ściany nawy głównej, by mieć lepszy widok. Śnieg wpadał mu do oczu, ale na tle księżycy i światła latarek daleko w górze widział zarysy sylwetek.

– Gdyby spadli, nie mają żadnego zabezpieczenia – powiedział.

– Oni nigdy nie spadają – odparł jeden z pedeli.

– Zejście jest pewnie o wiele trudniejsze.

– Kiedy dotrą na dach, wrócą od środka. Oczywiście jeśli mają podrobiony klucz.

– A mają?

– Po nich można się wszystkiego spodziewać.

– Więc będziecie na nich czekać na dole?

– Jak zejść na dach, schowają się między krokwiami, aż uznają, że sobie poszliśmy. Zeszłego roku siedziało ich tam kilku przez parę godzin. Zaryglowaliśmy klatkę schodową od środka i czekaliśmy, aż na tyle zgłodnieją, żeby się poddać.

– Czyli nie ma ucieczki?

– Na razie nikomu się nie udało.

Wiatr przycichł. Lyall wydał instrukcje Rory'emu Montague.

– Trzymaj linę i opuść się. Stopy opieraj na koniczynach, a potem przenieś się na lewą stronę. Nie będziemy cię widzieć, ale będziemy czuć, co się dzieje z liną.

Montague ruszył w drogę na dół. Wszystko wydawało się w porządku, dopóki się nie skończyły koniczynowe liście. Wówczas omsknęła mu się noga.

– Kurwa. – Odepchnął się od ściany i zawisł na linie.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz?! – zawołał Lyall.

– Nie mam gdzie postawić stopy.

– Chwyć się czegoś dłonią. Nie dam rady utrzymać całego ciężaru.

– Muszę trzymać linę obiema rękami. Nie mam siły jedną.

– Wetknij stopę gdzieś w ścianę. Musisz odciążyć linę.

– Jestem za daleko od muru.

Lewą nogą Montague usiłował sięgnąć do występu, by się na nim podeprzeć.

Zaczął się huścić nad przepaścią.

– Schodźcie natychmiast – zawołał z dołu pedel.

Dłonie Montague omsknęły się na linie. Poczuł, jak go pałą. Prawym łokciem uderzył w gargulca.

– Poluzujcie – polecił.

– Co się dzieje? – spytał Lyall.

Montague spuścił się powoli na linie bokiem budynku i znalazł podparcie. Tam odpoczął i znowu pociągnął za linę.

– Co ty wyprawiasz? – zawołał w dół Lyall. – Musisz nam powiedzieć, jak zwolnisz linę, żebym mógł się odwiązać i zejść. Ja jej nie potrzebuję.

– A ja tak – odrzekł Montague. Zastanawiał się, gdzie, u licha, się podział jego kumpel Kit Bartlett.

– Wychylę się i podam ci jeszcze kawałek – powiedział Lyall. – Mamy dość. Jesteś bezpieczny?

– Tak myślę.

– Dobrze. Zaraz... do licha... czekaj... och...

Odpadł od wieży plecami w dół, lecąc przez noc i śnieg, minął wykrzywione twarze milczących gargulców. Jego ciało nabierało prędkości, aż twardo zetknęło się z ziemią, która w żadnych warunkach nie jest na tyle miękka, by dało się uniknąć śmierci.

Nie rozległ się żaden krzyk, tylko cisza, upadek, głuchy odgłos uderzenia, bez echa: przerwa w czasie wypełniona jedynie bezgranicznym niedowierzaniem świadków.

– Mój Boże – odezwał się cicho pedel.

– To był pan Lyall? – zawołał Montague. – Lina jest luźna. Nie widzę Bartletta. Jestem sam. Nie umiem zejść.

– Niech pan schodzi powoli – zawołał jeden z pedeli.

– Czy pan Lyall spadł?

– Proszę wrócić na dach, a ktoś po pana przyjdzie. Trafi pan do schodów?

– Gdzie to jest?

– W dachu jest kłapa. Proszę tam zaczekać, przyjdziemy po pana.

– Nic nie wiem o żadnej klapie. Gdzie jest Kit? Co się stało z panem Lyallem?

Pedel nie odpowiedział.

– Musimy pana sprowadzić na dół.

– Nie chcę umierać! – zawołał Montague.

– Kto jest z panem?

– Już mówiłem, Kit Bartlett. Ale nie wiem, gdzie on się podział. Czy pan Lyall spadł?!

– Skąd pan jest?

– Z Corpus Christi.

Montague dotarł na dach, ostatnie dwa metry zeskakując. Rozglądał się w poszukiwaniu kłapy prowadzącej na schody. Czy jego kolega Kit już ją znalazł? Czy ukrył się gdzie indziej? Jakim cudem zniknął tak szybko?

Ulicą King's Parade pędziła karetka.

Sir Giles Tremlett, dziekan college'u Corpus Christi, głęboko poruszony śmiercią jednego ze swoich kolegów, poprosił Sidneya, by przyszedł do niego nazajutrz wieczorem.

– Zakładam, że możesz poprowadzić uroczystości pogrzebowe?

W tym roku byłby to już trzeci pogrzeb prowadzony przez Sidneya. Zawsze zimą miał często do czynienia ze śmiercią z przyczyn naturalnych, tym bardziej więc zasmucała go ta, tak niepotrzebna.

– Nie znałem dobrze Lyalla.

– Niemniej właściwe byłoby, gdyby pracownik college'u został pochowany w Grantchester.

– Rozumiem, że nie chodził regularnie do kościoła?

– W obecnych czasach niewielu naukowców to robi. – Dziekan nalał mocnego sherry i nagle się zatrzymał. – Przepraszam. Zawsze zapominam, że tego nie lubisz. Może whisky?

– Z wodą poproszę. Jest dość wcześnie.

Dziekan czuł się niezręcznie. Normalnie poprosiłby służącego o podanie drinków, ale najwyraźniej chciał, by nikt im nie przeszkadzał w tej rozmowie. Wysoki mężczyzna o smukłych zadbanych dłoniach i długich palcach, sir Giles, miał doskonałe maniere i zawsze nieskalanie idealny ubiór, nie sposób było się dopatrzeć w nim choćby cienia afektacji. Wyrażał się z perfekcją porównywalną jedynie do idealnie wyprasowanej koszuli i miał na sobie granatowy trzyczęściowy garnitur z Savile Row oraz pułkowy krawat Grenadierów Królewskich. Walczył w pierwszej wojnie światowej wraz z Haroldem Macmillanem i przyjaźnił się z Selwynem Lloydem, ministrem spraw zagranicznych. Jego żona, lady Celia, zawsze ubierała się w kreacje od Chanel, a dwie córki wyszły za przedstawicieli pomniejszej arystokracji. Przekroczywszy pięćdziesiątkę, otrzymał Order Imperium Brytyjskiego i należał do najważniejszych przedstawicieli angielskiego establishmentu. Sidney wręcz nieraz się zastanawiał, czy aby dla sir Gilesa taki zaścianek jak Cambridge nie oznacza zesłania.

Jako były dyplomata sir Giles nawykł do niejednoznaczności dyskursu politycznego i zawilości prawa, ale ponieważ objął swoje stanowisko zaledwie kilka lat temu, wciąż się dziwił, że akademicy tak osobiście traktują każdy spór i że tak trudno znaleźć trwałe i zadowalające rozwiązanie ich problemów. Już samo omawianie spraw na spotkaniach rady wydziału wypadło fatalnie, a teraz, gdy członek ich grona zginął w podejrzanych okolicznościach, będzie musiał się zdać na cały swój takt i dyskrecję, by załagodzić sytuację.

– Miałem nadzieję, że ta sprawa nie wyjdzie poza uczelnię – zaczął – ale ta nadzieja okazała się płonna. Zna ksiądz chyba inspektora Keatinga z policji w Cambridge?

– Spotkałem się z nim wczoraj wieczorem i na pewno się zainteresuje sprawą.

– Już się zainteresował. Zamierza jeszcze dziś przesłuchać Rory'ego Montague.

– A Bartletta?

– To delikatna kwestia. Lyall zachował się nieodpowiedzialnie, zabierając studentów na dach w taką noc. Wiem, że niektórzy z nas w przeszłości trochę się wspinali nocą, ale wówczas też byliśmy studentami. Można by sądzić, że wykładowcy mają ten etap za sobą. Niestety, Rory Montague wypowiada się mało konkretnie, co nie pomaga w wyjaśnieniu sprawy. Miałem nadzieję, że z nim ksiądz porozmawia.

– Wizyta duszpasterska? Pewnie kapelan college'u mógłby się tym zająć.

– Nie, chciałbym, żeby to ksiądz się tym zajął. W końcu był ksiądz na miejscu. Oczywiście sytuacji raczej nie poprawia fakt, że Kit Bartlett zniknął.

– Nadal nic nie wiadomo?

– Nic. Dzwonili już jego rodzice. Najwyraźniej wiedzą, że coś nie gra, choć naprawdę nie mam pojęcia skąd, więc sami zaczną rozpytywać. Może nawet pójść do prasy, a tego, oczywiście, najmniej nam potrzeba...

– Oczywiście.

– Montague mówi, że Bartlett zniknął, zanim on zaczął schodzić. I jeszcze jedno zastanawia: jego pokój jest pusty.

– Jakby wcześniej już planował zniknięcie?

– Właśnie.

– Może więc śmierć Lyalla nie była przypadkowa?

– Policja pewnie szybko dojdzie do takiego wniosku, prawda? Keating nie jest głupi i na pewno będzie ingerował. Mogę się jedynie domyślać, że Bartlett się ukrywa. Musimy oczywiście porozmawiać ze wszystkimi jego kolegami.

– Montague widział, co się stało?

– Pamięta, że zrzucano mu na dół linę. I potem już nic. Tak twierdzi.

– Coś jeszcze?

– Cierpi na lęk wysokości, więc nękają go teraz wyrzuty sumienia. Mówi, że nie użyliby liny, gdyby on z nimi nie szedł.

– Zastanawiające, dlaczego w ogóle się tam wybrał.

– Był ich fotografem – wyjaśnił dziekan. – I pewnie chciał zrobić dobre wrażenie. Lyall był jego wykładowcą, a Kit Bartlett to w ogóle postać charyzmatyczna.

– Pacyfiści na wojnie posuwają się do brawury, by udowodnić, że nie są tchórzami. – Sidney przypomniał sobie dwóch wesołych kolegów, którzy biegali z noszami, bo odmówili zabijania nieprzyjaciół, i wykazywali się niewiarygodną odwagą na plaży w Normandii, dopóki na jego oczach nie rozerwało ich na kawałki.

– Nie wiem, czy w wypadku Montague też o to chodzi. Nie jestem też pewien, czy w czymkolwiek by pomogło, gdyby on się przyznał do jakiegokolwiek odpowiedzialności. Wówczas postawiono by mu zarzut zabójstwa, a tego nie chcemy.

Sidney dopił whisky.

– Ale chcemy prawdy.

Dziekan się zirytował.

– Ostatnie, czego temu college'owi potrzeba, to skandal. D oczekaliśmy się już szczodrego odzewu na apel z okazji sześćsetlecia uniwersytetu i nie chcę ryzykować utraty tych funduszy.

– Musimy wiedzieć, co tam się wydarzyło.

– Tak, przyznaję. Będziemy postępować w sposób godny i uczciwy. To moje oficjalne stanowisko.

– W takim razie muszę przyjąć, że ma pan również stanowisko nieoficjalne.

– To delikatna kwestia, księżo Sidneyu.

– Więc może mi ją pan wyjaśni?

– Inspektor Keating na pewno będzie miał zajęcie. Musi przeprowadzić śledztwo, zadawać pytania.

– Na pewno to zrobi. I co w związku z tym?

Dziekan spojrział na Sidneya wzrokiem w zamierzeniu sugerującym poufałość.

– Chciałbym, byś mnie informował, co inspektor sądzi o sprawie. Oczekiwałem niejako ostrzeżenia, jeśli jego śledztwo stanie się zbyt szczegółowe, zwłaszcza w odniesieniu do życia osobistego zaangażowanych osób. Nie chciałem, żeby zagłębiał się zbyt niemiernie ani w ich związki osobiste, ani w przekonania polityczne.

– Sądziłem, że Lyall był żonaty.

– Był, owszem. Ale moim zdaniem w dużej mierze na pokaz. Nie muszę chyba posuwać się do dosłowności.

– Chce pan, bym pilnował policji w trakcie śledztwa?

– Nie ująłbym tego w ten sposób. Ale chcę, byś odgrywał rolę naszego oficera łącznikowego. Inspektor Keating cię zna i ci ufa.

– Przystanie mi ufać, jeśli się dowie, że relacjonuję panu każdy jego krok. I na pewno nie spodoba mu się pomysł, że mam szpiegować policję.

– Nie trzeba tego ujmować w tak radykalny sposób. Zapewne doskonale wiesz, że w Cambridge trzeba bardzo uważać z używaniem słowa „szpiegować”. Prowadzi to do nieprzyjemnych spekulacji, a już i tak mamy ich w nadmiarze.

Sidney był świadom, że uniwersytet jeszcze się nie otrząsnął po wstydlivej „sprawie zaginionych dyplomatów”, absolwentów Burgessa i Macleana, którzy, jak przypuszczano, cztery lata temu zbiegli do Moskwy. W sprawie ich zniknięcia zasięgnięto porady Keatinga, a on protestował, że nie ma pełnego dostępu do śledztwa. Od tego czasu na pewno sprawy poszły do przodu. Krążyły pogłoski, że inny apostoł Cambridge, Kim Philby, był tak zwanym trzecim, odszedłszy z MI6 w 1951 roku, i Keating bez ogródek powiedział, że jego zdaniem utworzona właśnie KGB, kierowana przez Iwana Sierowa, postrzega uczelnię jako zasobne źródło agentów.

– Nie wiedziałem, że Lyall pracował dla służb bezpieczeństwa.

– Nie powiedziałem, że pracował.

Sidney czekał, aż dziekan wyrazi się jaśniej, ale na próżno.

– Nie mogę się wdawać w szczegóły. Niektórych kwestii lepiej nie analizować. Na pewno tę sprawę można zbadać w jakiś dyskretny sposób.

– Nie jestem pewien, panie dziekanie. Po śmierci...

Sidney wiedział, że pomiędzy uniwersytetem a MI5 oraz MI6 istnieje jakaś niejasna relacja, ale nigdy nie zadawał zbyt wielu pytań na ten temat. Rozumiał, że wizja rekrutowania wybitnie inteligentnych agentów jest bardzo kusząca, ale jego zdaniem lepiej byłoby czekać z tym do uzyskania dyplomu. Zbyt łatwe było wykorzystywanie ludzi, którzy nie mogli przewidzieć konsekwencji swojego entuzjazmu do intryg. A gdy już zasmakowali w tajemnicy i kłamstwie, nie zawsze dało się przesądzić, że zostaną po właściwej stronie.

– Myślałem, że wy, duchowni, cały czas macie do czynienia z szarą strefą. Niewiele dylematów moralnych można nakreślić czarno-biało. To kwestia zaufania. A także powinności.

Sidney wcale nie był pewien, czy podoba mu się kierunek tej rozmowy.

– Mam absolutnie jasny obraz swojej lojalności, panie dziekanie.

– Wobec Boga i kraju. Wobec kolegów i przyjaciół.

Sidney odstawił na tacę swoją szklanekę po whisky.

– Oby nigdy one ze sobą nie kolidowały. Do widzenia, panie dziekanie.

Znowu padał śnieg. Jezdnie i chodniki pokryły się lodem, a każdy ruch po śliskiej powierzchni oznaczał ryzyko. Niewielu ludzi ośmiało się podnosić wzrok czy iść dłużej z podniesioną głową – rzucali tylko krótkie pozdrowienia



KSIĄDZ SIDNEY CHAMBERS
POWRACA W KOLEJNYM TOMIE
SWOICH DETEKTYWISTYCZNYCH PRZYGÓD.

Gdy jeden z wykładowców ginie w czasie nielegalnej wspinaczki na dach świątyni, Sidney nie chce uwierzyć, że to nieszczęśliwy wypadek, a rozwiązanie zagadki przerasta jego wyobrażenia. Prozaiczny z pozoru pożar pracowni fotografa też okazuje się co najmniej zagadkowy, nie daje też spokoju Sidneyowi zgon wykładowcy matematyki, rzekomo spowodowany zawałem serca. Najbardziej wstrząsającą sprawą Sidneya jest jednak śmierć młodego zdolnego krykiecisty, który odszedł w straszliwych męczarniach.

To nie wszystko, z czym Sidney musi się zmierzyć. Czy dokona wreszcie wyboru pomiędzy olśniewającą panną z wyższych sfer a czarującą niemiecką wdową? Przed podjęciem decyzji Sidney udaje się do Berlina, gdzie trafia w sam środek międzynarodowej afery szpiegowskiej.

www.marginesy.com.pl



9 788365 780157

cena 37,90 zł

PATRONAT MEDIALNY

BOOKLIPS.PL IIII



w sprzedaży także

